

Patrząc na brylujących na boiskach graczy, kibice często dostrzegają tylko jasne strony piłkarskiej kariery: zwycięstwa, bramki, popularność, podziw tłumów. Oburzając się na wysokie zarobki graczy, wielu nie dostrzega wszystkich trudów, wysiłku, wyrzeczeń, a często też przykrości, jakie kryją się za pięknymi obrazkami. Wielu zapomina, jak krucha jest piłkarska kariera. Jednym z tych, którzy się o tym boleśnie przekonali, był Francesco Rocca. W ramach lekcji historii Romy: opowieść o „Kawasaki”.

Francesco Rocca urodził się w San Vito Romano 2 sierpnia 1954. Syn hydraulika i gospodyni domowej pierwsze piłkarskie kroki stawiał w parafialnej drużynie swojej miejscowości, żeby potem przejść do Genazzano a następnie do Bettini Quadraro. W końcu wpadł w oko skautom Romy, która wykupiła go w 1970 także pod naciskiem ówczesnego trenera, „Maga” Helenio Herrery. Zadebiutował w pierwszej drużynie Giallorossich w 1972 w wieku zaledwie 16 lat. Miało to miejsce w czasie Turnieju Angielsko-Włoskim, gdy Romę trenował Luciano Tessari.

Szybko okazało się, że jest wielkim piłkarzem i dlatego bez problemów wywalczył sobie miejsce w pierwszym składzie. Na skrzydłach atakował i bronił z jednakową energią. Z czasem poczynił znaczące postępy techniczne i stał się graczem trudnym do powstrzymania, otrzymując od kibiców ksywkę „Kawasaki”. Zadebiutował także w reprezentacji Włoch i to właśnie w meczu Italii przydarzyła mu się pierwsza brzydka kontuzja, która rozpoczęła jego prawdziwą „golgotę”. Pomimo wielu urazów, zawsze z uporem wracał na boisko, dla wielu fanów stając się wcieleniem prawdziwego gladiatora.

Był piłkarzem o raczej delikatnej budowie i niezmiernie często faulowanym przez rywali. Seria nieszczęść zaczęła się w październiku 1976 roku, kiedy zaczął mieć problemy z łąkotką po tym, jak został sfaulowany w meczu ligowym z Ceseną. Pomimo urazu nie zrezygnował z powołania do reprezentacji na mecz kwalifikacyjny mistrzostw świata przeciw Luksemburgowi 16 października. Zagrał przez całe 90 minut, pogarszając swój stan zdrowia. Na pierwszym treningu po powrocie do Włoch, więzadła kolana puściły.

Po tej kontuzji wrócił na boisko 17 kwietnia 1977 roku w meczu z Perugią, ale jego problemy się nie skończyły. Ponownie operowany w 1977 roku, opuszcza cały sezon 1977-78. Wraca w kolejnym sezonie, wychodzi na boisko dosyć regularnie przez dwa kolejne lata (17 występów w 1978/79 i 20 w 1979-80). Jednak radość nie trwa długo. W sezonie 1980-81 z powodów zdrowotnych (nawroty rwy kulszowej będącej konsekwencją kontuzji) wychodzi na boisko tylko 6 razy i w końcu zmuszony jest zakończyć karierę.

Przeszedł pięć operacji kolana. Bardzo prawdopodobne, że w naszych czasach, przy dzisiejszym stopniu rozwoju medycyny, wszystko to potoczyłoby się zupełnie inaczej. Jego pożegnanie z piłką, w wieku zaledwie 26 lat, nastąpiło w meczu Roma-Internacional Porto Alegre, towarzyskim spotkaniu powitalnym dla Paulo Roberto Falcão, w którym zagrał tylko przez 19 minut. Pomimo wielkiego hartu ducha i prawdziwie rzymskiego serca Francesco musiał pożegnać się z Romą właśnie wtedy,

kiedy zespół wzbijał się na wyżyny. I dlatego to właśnie jemu koledzy z drużyny dedykowali zdobyte niedługo potem scudetto.

Francesco Rocca grał w barwach Romy od 1972 do 1981 roku, zaliczając 141 występów w lidze, 22 w Pucharze Włoch (dwie bramki) oraz 6 w Pucharze UEFA. W dorosłej reprezentacji wystąpił 18 razy i strzelił 2 gole.

Po zakończeniu piłkarskiej kariery został trenerem. Od 2006 prowadził reprezentację Under-18 i Under-19, z którą zdobył srebrny medal na ME 2008. Od 2008 trenował kadrę Under-21, a w kolejnym roku poprowadził młodych graczy na MŚ Under-20.

Choć nie był w składzie kadry, która zdobyła scudetto, to właśnie jego poproszono o napisanie wstępu do książki Luciano Bertolaniego poświęconej sezonowi 1982/83. Pisał tak:

- Wybaczcie, jeśli – może błędnie – uważam sukcesy Romy także za moje własne. Nie chcę okazać braku szacunku, ani odbierać zasług tym wszystkim, którzy uczynili zespół Romy wielkim, ale nie umiem mówić o Romie, jakby była czymś kompletnie ode mnie oderwanym. Nie zrobiłem niź, żeby przysłużyć się do tego tryumfu Giallorossich. Nie walczyłem, nie wylewałem potu razem z kolegami, nie dzieliłem z nimi niepokojów i obaw każdego dnia poprzedzającego kolejny mecz. Nie towarzyszyłem im nawet w meczach wjazdowych, w zgrupowaniach, na treningach. Z roztrzaskanym kolaniem byłem unieruchomiony wtedy, kiedy Roma zaczynała zbierać nagrody. Jak mogę dziś nie myśleć, że tylko pech odebrał mi tę największą możliwą radość?

Zakończyć karierę w wieku zaledwie 27 lat z powodu kontuzji kolana to prawie jak umrzeć. Byłem w pełni zawodowej dojrzałości i zaczynałem myśleć, że długie lata wyrzeczeń przyniosą w końcu efekty. Walczyłem przez miesiące i lata z tym, co było oczywiste. Przeszedłem pięć operacji, nieskończoną ilość razy wznawiałem treningi. Na darmo. W końcu doszło do wielkiego “skoku”. Roma stała się prawdziwą “gwiazdą” włoskiej i europejskiej piłki. Ale Francesco Rocca nie znalazł się w tej drużynie. Może więc trochę w duchu odwetu lubię uznawać także za moją własną tę dzisiejszą Romę i to nie tylko dlatego, że w wieku 28 lat należę do jej kierownictwa. Wybaczcie więc tę szczyptę brutalności i porozmawiajmy o tym, co wielu krytyków upiera się nazywać „cudem Romy”. Osiągnięcia Giallorossich to nie jest „cud”. Ani nawet nie „marzenie”. Jeśli zastąpicie słowo “cud” słowem “praca”, a słowo “marzenie” słowem „program”, to poznacie sekret Romy. Że ta Roma będzie wielka, zrozumiałem już lata temu, kiedy prezes Viola sprowadził Liedholma, wyrывая go z rąk Milanowi, który właśnie wygrał swoje 10 scudetto. Moi przyjaciele, koledzy z tamtych lat, pewnie pamiętają moje słowa: „Ci dwaj ludzie – powiedziałem wtedy – dadzą Romie scudetto”.

Zdolności organizacyjne prezesa oraz zawodowe umiejętności i charyzma szwedzkiego szkoleniowca były fundamentem sukcesów drużyny i nikt lepiej ode mnie nie wie, z jaką cierpliwością, długowzrocznością i rozsądkiem była ona budowana. Viola uczynił wielkim klub, a Liedholm uczynił wielką drużynę.

Dziś jestem tylko małym trybikiem w kolosalnym żółto-czerwonym mechanizmie, siedzę za biurkiem, często podróżuję. Ale moje serce i moje myśli dalej są na boisku. Raz w tygodniu trenuję z tymi, których dalej uważam za moich kolegów z zespołu. Kolano nie pozwala mi na więcej. I właśnie w takich sytuacjach, żyjąc tak blisko środowiska drużyny, dobrze widzę, że fenomen Romy nie jest czymś przelotnym. Wierzę, że jest wręcz przeciwnie: żółto-czerwona epoka dopiero się rozpoczyna. Mówi się ciągle o stylu Juventusu, a teraz, dzięki Violi i Liedholmowi, narodził się styl Romy, który będzie trwał przez lata.

Nie wiem, jak należy pisać wstępy. W tych linijkach starałem się więc wyrazić to, co mam w środku. Czuję jednak konieczność podziękowania tym, którzy – pisząc tę książkę o osobach, które uczyniły Romę wielką – pomyśleli także o mnie. Gdybym nie miał takiego pecha, to autor tej książki umieściłby Francesco Roccę na kolejnych stronach, pośród 17 piłkarzy Romy.

Niestety w wieku 28 lat nie jestem już piłkarzem, ale to, że poproszono mnie o napisanie tych kilku słów, wypełnia mnie dumą i pozwala mi w jakiś sposób uczestniczyć w sukcesach Romy z przekonaniem, że kibice o mnie nie zapomnieli.
Francesco Rocca

Wywiad z "L'Intrepido" z 1978 roku

Francesco Rocca: powrót legendy

Trudny powrót do gry popularnego gracza Romy i reprezentacji miał nie tylko jasne strony. Francesco, obok oklasków, dostał też sporą dawkę aluzji do swojej nie do końca idealnej formy, co sprawiło mu przykrość, której nie potrafi ukryć. W czasie tego naszego "spotkania" możecie więc zobaczyć Roccę innego niż chłopak sprzed dwóch lat.

Bycie legendą w wieku 20 lat może być piękne, ale jest też ma pewno niewygodne. Francesco Rocca status legendy uzyskał z absolutną nieświadomością i był całkowicie nieprzygotowany na falę "ludowej solidarności", która rzadko podnosi się w takim zakresie w stosunku do debiutanta. Ale tłum z Romy (a może raczej z Rzymu, bo Francesco - jak i zresztą biedny Maestrelli - był jednym z niewielu graczy Romy, który był ceniony także po drugiej stronie barykady) potrzebował rodzimego produktu, który mógłby uwielbiać, z którym mógłby się identyfikować. I szybko wybrał właśnie jego, podbity widowiskowością jego niepowstrzymanych rajdów po skrzydłach, porywającą szlachetnością charakteru, nieco "wieśniackim" akcentem (tak rzymianie nazywają, dobrotliwie ale i ironicznie, ludzi pochodzących z okolic miasta), jego sposobem bycia na boisku, przez który wyrażał całą swoją miłość do piłki, cały swój szacunek do rywali (to jeden z najczyściej grających piłkarzy), swoją miłość do kibiców.

"Dodatkowy bieg", którym mógł się poszczycić nawet w starciach z najszybszymi rywalami, sprawił, że trybuny ochrzciły go ksywką "Kawasaki", która wyjątkowo pasuje do jego wizerunku. Ta okoliczność - to znaczy błyskawiczna gotowość fanów do nagrodzenia debiutanta wojennym pseudonimem - powtarza się w historiach

kariery wszystkich autentycznych mistrzów. I na tym nawet jeszcze niepełnoletnim mistrzu Roma oparła sezon, w którym wywalczyła 3 miejsce w Lidze, a reprezentacja włoch odbudowała się po burzy w Stuttgarcie. Potem tragedia. Pechowy incydent, długa męka, żeby wyzdrowieć i spróbować wrócić na boisko. I kolejny, poważny uraz i kolejna - jeszcze dłuższa i bardziej bolesna - kalwaria. Cała ta historia, opowieść o kolanie (i duszy?) mistrza trzykrotnie otwieranym, pociętym skalpelami, umęczonym kolejnymi próbami, to pieśń przeszłości. Pieśnią przeszłości są pielgrzymki desperatów do Lionu, do czarodzieja Trillata, ciągnące się wiecznie godziny unieruchomienia i medytacji przepojonych nieuchronnie goryczą, której nikt - nawet Francesco - nie będzie potrafił wyrazić. Pieśnią przeszłości jest także jego bolesny powrót w krytycznym dla drużyny momencie, ten powrót, który wierni romaniści uznali za znak, że piłka nożna dzisiaj (co według nas prawdopodobne) podlega nie tylko prawom atletycznym i technicznym, ale uwzględnia też uczucia, stany duszy, tajemnicze i delikatne więzi, jakie łączą często sportowca i tłum jego fanów.

Ale piłka nożna to także bezlitosny świat, który może podrapać cię, jak pies, który pozbywa się pcheł. I dlatego niektórzy uznali, że powrót Francesco był bardziej widowiskowym gestem niż koniecznością techniczną, a jego eksperymentalne wykorzystanie w meczu kadry ze Szwajcarią w Ferrarze można ocenić jako "patetyczne". A Rocca dalej cierpi, zamykając się często w upartej ciszy, do której "wytrenował się" w czasie swojego długiego piłkarskiego wygnania. Dziennikarz zawsze więc widzi w nim gotowość do rozmowy oraz szczerść, ale jednocześnie lekki niepokój, żeby nie pokazać swojego rozgoryczenia.

FR: Oczywiście, ja jestem pierwszym, który wie dobrze, że moją formę można ocenić na jakieś 50%. Ale nazwanie "patetycznym" występu w błękitnej koszulce, wydaje mi się nie w porządku. W każdym razie byłem przygotowany na takie reakcje. Sprawiają mi ból, ale jestem na nie gotowy.

W Ferrarze znowu ryzykowałeś nogi po kolejnych faulach Chapuisata...

FR: Cóż. Ja gram dany mecz tylko dla meczu. Może jestem głupi, co?

Co masz na myśli?

FR: Że kiedy wzywa mnie reprezentacja, to myślę tylko o "tym meczu" a nie o kolejnym spotkaniu w lidze. I daję z siebie wszystko. Może teraz moje "wszystko" to niewiele, ale nawet przy tym "niewiele" nie zamierzam się oszczędzać.

Ale w Bratysławie...

FR: W Bratysławie stało się coś, co nie jest dla nas nowe. Kiedy sprawy nie układają się dobrze, a atletyczna forma przeciwnika jest wysoka, to wytrzymuje tylko czwórka czy trójka. Pozostali się uginają.

Cenisz Bearzota?

FR: Bardzo. Ale on też nie jest czarodziejem, nie może rozkręcić głowy każdego gracza i naprawić tych trybików, które źle funkcjonują.

A Giagnoni?

FR: To świetny trener i dobry człowiek. Traktował nas jak mężczyzn. To my go rozczarowaliśmy, a nie odwrotnie. Było mi bardzo przykro, że odszedł.

Dlaczego od jakiegoś czasu tak mało rozmawiasz z dziennikarzami?

FR: Ponieważ zbyt często to, co mówię, jest instrumentalizowane. To gra, która mi się nie podoba.

Kolano dalej sprawia Ci ból?

FR: Ciągle mnie boli. W dzień i w nocy, w każdej minucie. Ubytki w chrząstce sprawiają, że ciągle jest obolałe. Codziennie dostaję kortyzon. We właściwych dawkach, ale każdego dnia. I każdego dnia trenuję uderzenia przez 20 minut. Pod ścianą. Także to jest patetyczne. Powiem to pierwszy, zanim powiedzą to inni.

Jesteś bardzo rozgoryczony, Francesco. Przyjaciele, Twoja narzeczona nie pomagają Ci?

FR: Nie mam narzeczonej. Dwa lata temu byłem jeszcze za bardzo niedojrzały, żeby myśleć o kobietach, a przez ostatnie dwa lata pech zatroszczył się o to, żeby miał o czym myśleć. Przyjaciele? Żyjąc życiem piłkarza, nie jest łatwo zawierać przyjaźnie. Myślę oczywiście o prawdziwych przyjaciółach. Mam kogoś w S. Vito, mojej rodzinnej miejscowości. Ludzie, którzy dorastali razem ze mną. Ale to nie jest tak, że się wybraliśmy. Po prostu dorastaliśmy razem i dlatego jesteśmy przyjaciółmi, rozumiesz?

Myślę, że tak. Ale przynajmniej jednego prawdziwego przyjaciela na pewno masz.

FR: Tak, to Lelli, trener mojej dawnej drużyny, Bettini-Quadraro. Dla mnie jest jak brat. Ma prawie 20 lat więcej ode mnie, ale dogadujemy się, jakbyśmy byli rówieśnikami. Widział mnie, jak grałem w Genazzano, mojej pierwszej drużynie i chciał mnie w swoim zespole. Byłem "pół-skrzydłowym". Na tej pozycji grałem też w juniorkach Romy. Dopiero potem trafiłem na moją pozycję, zacząłem grać na boku obrony. Teraz Bearzot mówi, że mogę być pomocnikiem.

A co Ty o tym myślisz?

FR: Że może mieć rację. Często mu się to zdarza.

Jak idą studia?

FR: Źle. Przez dwa lata studiowałem najlepszą drogę, żeby przetrwać moralnie i fizycznie. To także były egzaminy, bardzo trudne, choć nie ma ich w indeksie. Indeks mówi, że student Nauk Politycznych Rocca Francesco zdał tylko 9 egzaminów. Także tutaj muszę wrócić i odrobić straty.

W czasie pobytu w szpitalu przeczytałeś wiele książek.

Fr: Tak, ale z wielkim trudem, muszę to przyznać. Nie jestem zagorzałym czytelnikiem. Czytam "Intrepido" i "Il Monello" chętniej niż Puszkina i Flauberta, a

tych autorów czytałem w klinice. Z Flauberta nie rozumiałem wiele, a jednak czytanie go wydawało mi się bardzo męczące. Z Puszkinem poszło lepiej, ponieważ opisuje przygody z czasów carów, a ten okres mnie fascynuje. Ale nie jestem jakimś wielkim czytelnikiem.

Myślisz, że masz dobry charakter, Francesco?

FR: Nie. I przez ostatnie dwa lata pod tym względem na pewno jest gorzej. Musicie wszyscy wykazać trochę cierpliwości.

Kiedy myślisz o sobie, to jak siebie widzisz?

FR: Cudownie ocalony. Wróciłem do gry. Nieważne, czy na 50% czy na 70%. To i tak cud. I dziękuję za to Bogu.

Wrócisz do pełni formy?

FR: Nie, nie sędzę. Ale myślę, że 70% może wystarczyć. Cześć.

To Rocca bardzo odmienny od tego, jakiego widzieliśmy przed katastrofą. I kiedy porządkujemy notatki, przychodzi nam do głowy epizod sprzed kilku lat, który jasno pokazuje pewne różnice. Chcemy go opowiedzieć, żeby dać trochę "lekkości" temu wywiadowi, który może jest zbyt bolesny. Po powrocie do Linate z meczu wyjazdowego Under 23 (wtedy prowadził ją Bearzot) nie dało się kontynuować lotu do Rzymu z powodu gęstej mgły, która przykryła pasy startowe. W taksówce zmierzającej do Rzymu znaleźliśmy się więc Bearzot (który kierował się do Coverciano), Rocca i ja. Trener i gracz rozmawiali oczywiście o piłce. O każdej osobie po kolei wspomianej (w stosunku do której trener pozwalał sobie na uprzejmą krytykę) Francesco mówił z wielkim entuzjazmem. Aż do momentu, gdy Bearzot, śmiejąc się, powiedział: "Ależ Francesco, ty nigdy o nikim nie mówisz źle. Jesteś gorszy niż Facchetti!". A Rocca, spokojnie i wyraźnie, odpowiedział: "A uważa Pan, że Facchetti nie zrobił ładnej kariery?"

(Rozmawiał: Sandro Ciotti)

Autor: kaisa